Rok VI. 25 Listopada 1934. Nr. 48

DZWONECZEK

PRZED STU LATY.

Jak wiadomo, miesiąc listopad rozpoczynają Zaduszki poświęcone pamięci zmarłych. Chociaż właściwie stanowi je tylko jeden dzień, t. j. 2-gi listopada, to jeszcze w ciągu wielu dni następnych rozbrzmiewają po kościołach msze żałobne, a cmentarze odwiedzane są przez tych, którzy tam w mogiłach złożyli swych najbliższych. Dla Polaków cały niemal listopad stanowi jakby Zaduszki, gdyż w tym miesiącu obchodzimy rocznice zgonu wielu bardzo zasłużonych ludzi w narodzie. I tak: w listopadzie odszedł z tego świata ostatni Piast, król Kazimierz Wielki w r. 1370, dalej, największy mistrz malarstwa polskiego Jan Matejko r. 1893, wielki poeta i zarazem świetny malarz Stanisław Wyspiański r. 1907, światowej sławy powieściopisarz, twórca Trylogji, Henryk Sienkiewicz r. 1916, a już szczególnie upamiętniony został listopad śmiercią Adama Mickiewicza w r. 1855

Niema chyba dziecka szkolnego w Polsce, któreby nie słyszało o Adamie Mickiewiczu. Wszak jest on po dziś dzień uważany za największego poetę polskiego, i nietylko poetę, ale zarazem i wieszcza, proroka, przewodnika, który dziełami swojemi wiódł cały naród poprzez mroki niewoli i ukazywał w dalekiej przyszłości świt zbliżającego się dnia, w którym Polska odzyska wolność i niepodległość.

Wszystkie narody świata składają Mickiewiczowi hołd, uważając go za genjusza, t. j. człowieka, którego Opatrzność szczególniej sobie wybrała i przeznaczyła do wielkich celów.

Nie mogąc żyć w ojczyźnie prześladowanej wtedy przez wrogów, przebywał prawie całe swoje życie poza granicami kraju, głównie we Francji, dokąd udawali się z Polski wszyscy, którym groziła śmierć lub więzienie od Moskali za to, że chcieli narodowi wolność wywalczyć. Żyjąc w ciągłej tęsknocie za utraconą ojczyzną, pisał i pracował z myślą o niej, starając się zmienić jej losy nieszczęśliwe. W takiej myśli udał się do Turcji, lecz tam dosięgła go śmierć w Konstantynopolu, skąd rodacy przywieźli ciało jego do Paryża. Długie lat dziesiątki minęły, zanim prochy wieszcza znalazły się wreszcie w Polsce gdzie 4-go lipca roku 1890 złożono je w podziemiach wawelskich w Krakowie. jako króla naszej poezji.

Z pomiędzy wszystkich utworów Mickiewicza najlepiej znany jest wielki poemat p. t. „Pan Tadeusz“, w którym poeta opisuje życie, zwyczaje i obyczaje w Polsce na początku wieku 19-go, to jest wtedy, kiedy wszelkie nadzieje Polaków zwracały się w stronę cesarza Francuzów, Napoleona. We wszystkich bitwach, jakie ten wielki wojownik prowadził z państwami europejskiemi, brali masowo udział Polacy, licząc, że za tyle wierności, krwi przelanej i ran, on odbuduje Polskę.

Rycina, którą zamieszczamy w dzisiejszym „Dzwoneczku“ (według obrazu znakomitego rysownika Andriollego) przedstawia właśnie końcowy ustęp z „Pana Tadeusza“, kiedy to legjony Dąbrowskiego, stanowiące część armji Napoleona, zatrzymały się na Litwie, dążąc wraz z cesarzem na zdobycie Moskwy.



Koncert nad koncertami. Scena z „Pana Tadeusza". Obraz Andriollego.

Między wojakami znajduje się i młody pan Tadeusz Soplica, którego widzimy stojącego obok swej narzeczonej Zosi. Po lewej stronie pod rosochatem drzewem stoi generał Dąbrowski w otoczeniu swych oficerów; w pośrodku piękna postać starego sędziego, stryja Tadeusza, w polskim stroju szlacheckim. W głębi lud, którego właśnie z powodu zaręczyn Tadeusza z Zosią, młodzi państwo uwłaszczają, czyli uwalniają od pańszczyzny i obdarowują wolnością i ziemią.

Wszyscy przysłuchują się koncertowi, jaki daje stary cymbalista Jankiel. Rozpoczynając wspaniałym polonezem, odtwarza on w muzyce wielką radość w chwili ogłoszenia przez Sejm w Warszawie Konstytucji Trzeciego Maja; wydaje się, iż słychać okrzyki zgromadzonego na ulicach ludu: Wiwat król, wiwat sejm, wiwat naród, wiwat wszystkie stany! Przerażająco fałszywy akord ma przedstawić wspomnienie Konfederacji Targowickiej, która zaprzepaściła wszystko, co miała dobrego dać Konstytucja majowa i oddała Polskę w niewolę. Kończy jednak muzyk swój koncert radosnym mazurkiem Dąbrowskiego „Jeszcze Polska nie zginęła!“, tymsamym, który dziś stał się naszym hymnem narodowym.

Ryciną tą chcemy uczcić setną rocznicę ukazania się drukiem arcydzieła polskiego „Pana Tadeusza“, oraz przypadającą w tych dniach rocznicę zgonu Adama Mickiewicza. *Ol.*

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

(Ciąg dalszy).

Dzień był już jasny, kiedyśmy doczekali się ich zjawienia. Znużeni całonocnem czuwaniem, piliśmy właśnie kawę, by odpędzić senność, gdy naraz do naszego obozu doleciały od strony strumienia liczne głosy ludzkie. Porzuciliśmy niedokończone śniadanie i co żywo rzuciliśmy się w zarośla na brzegu.

W tej chwili muły nasze odezwały się głośno, na co natychmiast odpowiedziała głośniejsza wrzawa na wodzie. Fidżinos w żółtym zawoju na głowie, a Tahiti w czerwonym, obaj z wyciągniętemi mieczami malajskiemi, wyjrzeli pierwsi z poza gęstwiny nadbrzeżnej i w tej chwili ku nam zwrócili się, szepcząc, że o kilka kroków od siebie mamy kilkunastu rozbójników na łodziach.

Usłyszeliśmy śmiech dziki, a służący nasi wytłumaczyli nam, że wyraz, jaki usłyszeli, oznaczał po malajsku „słomkowy kapelusz“. To napastnicy ujrzeli właśnie ponad krzakami postać najwyższego z nas czterech, profesora, którego żółty kapelusz sterczał z nad zieleni, gdy mego hełmu jeszcze nie było widać z poza drzew.

Wówczas wystąpiliśmy naprzód, Maori z gołemi mieczami, my kierując ufy strzelb wprost na wodę, żeby je dobrze z łódek widziano. Na nasz widok podniósł się krzyk większy. Zobaczyliśmy wyraźnie i zbliska wykrzykujących dzikich Polinezyjczyków w barwnych strojach i jaskrawych czapeczkach malajskich. Małe ich łódeczki sunęły wprost na nas, a z łuków w ich rękach naciągniętych, świsnęły naraz w powietrzu strzały. Coś mi gwizdnęło koło ucha, a pan Stefan, któremu strzała przeleciała pod pachą, mruknął przez zęby: — Ognia!

Wypaliliśmy odrazu obaj, a białe kłęby dymu przysłoniły nam widok na chwilę. Podczas tego zasypały nas nanowo strzały malajskie, które i pro-

fesora i mnie w kilku miejscach drasnęły bardzo boleśnie. Wtedy wypaliliśmy powtórnie w napastników. Ktoś jęknął pomiędzy nimi i czyjeś ciało runęło z czółenka w toń strumienia.

Znowu wrzask dziki rozdarł powietrze, a wtedy Fidżinos powstrzymał nas od nowych strzałów, mówiąc, że zbójcy chcą się z nami porozumieć. Nie opuszczając strzelb ani na chwilę, wpatrzeni bez przerwy w ruchy napastników, czekaliśmy, gotowi do nowych strzałów, co nam powie Fidżinos, z którym już rozmawiał wysłannik bandy. Kiedy dowiedzieli się, że nie jesteśmy kupcami i że nie wieziemy nietylko towarów, ale nic takiego, coby dla nich przedstawiało wartość, a nadewszystko kiedy z objaśnień Fidżinosa o celu naszej podróży wzięli nas za czarowników, sprawa wzięła inny obrót. Postanowili nas nie napastować nadal i odjechać w swoją drogę, pod warunkiem jednak, że ich obdarzymy jakimś przyrządem czarodziejskim. Zaczęliśmy się zatem naradzać, coby ich mogło zadowolić. Baliśmy się bowiem, że z czemkolwiek wystąpimy, wszystko zawiedzie ich oczekiwania. Fidżinos musiał im zapewne wspomnieć o przyrządach do wypychania ptaków; kiedy zaś damy im coś z tego, przestaną wierzyć w nasze moce czarnoksięskie.

Wtem przyszła mi świetna myśl do głowy. Szepnąłem profesorowi słówko i zostawiwszy go na czatach, poskoczyłem do namiotu. Chwyciłem stamtąd jedną z latarek elektrycznych, których mieliśmy większy zapas w podróży, i powróciwszy nad wodę, kazałem za pośrednictwem Fidżinosa wylądować trzem dzikom z pierwszej łodzi. Na wszelki wypadek rewolweru nie puszczając z ręki i zabrawszy z sobą Tahitiego, poszedłem z trzema brunatnymi zbójami w najciemniejszy zakątek zarośli pod grupą wielkich drzew cienistych; w miejscu, w którem panował niemal wieczorny mrok, kazałem im przykucnąć. Naraz oślepiła ich jasność jaskrawa. To ja nacisnąłem guzik i snop światła elektrycznego oblał dzikich. Ryknęli z radości, a kiedy im pozwoliłem wziąć czarodziejskie pudełko do ręki, kiedy wskazałem, jak należy się z niem obchodzić i jeden z nich, dotknąwszy się guzika, oświetlił Tahitiego, zaczęli się z uciechy aż tarzać po ziemi. Poprostu wierzyć nie chcieli, byśmy mogli darować im coś tak cennego, co, jak nas zapewniali, będzie w mgnieniu oka zabijało węże i krokodyle.

Niebawem banda, złożona z piętnastu zbójów, uwoziła na swych łódkach czarodziejską lampkę, mając w swem gronie dwóch słabo, a jednego ciężko ranionego. My zaś w przeciwną stronę odjeżdżając na mułach, mówiliśmy między sobą o tem, że napewno nie tak łatwo bylibyśmy wyszli z tej przygody, gdybyśmy nie mieli po swojej stronie dwóch ludzi tejsamej rasy co napastnicy, którzy skutkiem tego mogli się z nimi porozumieć — i zaufali ich słowom.

Pan Stefan schował strzałę, która mu utkwiła w kapeluszu i zbadał ją, by się przekonać, czy nie miała w sobie jadu. Na szczęście, strzały Malajów nie były zatrute, ale mimo to od ich zadraśnięć ranki będą nam się napewno w nieskończoność jątrzyły w tutejszym klimacie. A mnie prawa ręka już porządnie boli i zdaje mi się, że puchnie w miejscach draśniętych strzałami. Przestanę nawet pisać, żeby jej zbyt nie męczyć.

(C. d. n.)

Rozwiązanie łamigłówki z nru 46-go:

***H**uta. **E**wa. **N**iwa. **R**atusz. **Y**psylon. **K**aszubi. **S**tudent. **I**ndyki. **E**milja. **N**iemowlę. **K**rakowiak. **I**gnacy. **E**uropa. **W**ieloryb. **I**wa. **C**ytryna. **Z**ebra.*

Henryk Sienkiewicz.